Zwykła niedziela

Jest niedziela. W mieszkaniu ojciec słucha coniedzielnej mszy, podczas gdy dwóch jego synów zajętych jest zabawą. Ich matka wybrała swoje fizyczne uczestnictwo w mszy, dlatego teraz jest w kościele. On, jako że nigdy nie lubił utrudniać sobie niepotrzebnie życia, wolał zostać w domu i wysłuchać mszy w radiu. „Zresztą, jeżeli Bóg jest wszędzie – zwykł często powtarzać – to Kościół jest również w domu.” I może nie do końca miał rację, jednak na pewno coś w tym było. Jakby drugie ukryte dno. Dlatego teraz siedział wygodnie rozpostarty w fotelu i powtarzał za głosem księdza z radia:

– Zdrowaś Mario, łaski pełnaś, Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami i… – Mówił to jednak bez jakiejś szczególnej żarliwości, bez większego przekonania. Jakby klepał znaną sobie formułkę na odczepnego, nie zastanawiając się nad głębszym sensem wypowiadanych słów. Zresztą, tak naprawdę, to uczestniczył w tym coniedzielnym rytuale z przyzwyczajenia, może trochę z pewnego rodzaju bojaźni, na pewno jednak nie z bezwarunkowego oddania i zaangażowania. To bowiem, co widział i czego doświadczał na co dzień, było bardzo dalekie od tego, co od lat słyszał w tej świątyni Boga. Dlatego jego zaangażowanie nie było zbyt duże, było takie, na jakie tak naprawdę było go stać. A że nie na wiele było go stać w tym zakresie, więc i jego żarliwość była ułomna.

Zabawa chłopców poza jakąkolwiek jego kontrolą przybiera na sile. Jest coraz głośniej.

– Uspokójcie się! – rzuca w ich stronę, po czym powraca do przerwanej na moment modlitwy – …święta Mario, matko Boża, módl się…

Nagle jeden z chłopców wybucha płaczem, na co ojciec reaguje podniesionym głosem:

– Mówiłem wam chyba, kurwa, żebyście byli cicho czy nie?! Nawet bawić się nie umiecie. Jak się natychmiast nie uspokoicie, to możecie zapomnieć o wesołym miasteczku. Rozumiemy się? – Ostatnie słowa wypowiada teraz już jednak spokojnie i wydaje się, że bez jakiejkolwiek emocji.

Chłopcy milcząco potakują głowami.

– No, to zmykajcie do siebie. Zaraz skończy się msza i wychodzimy.

– A mama? – rezolutnie pyta jeden z chłopców, wycierając dłonią widoczne jeszcze ślady łez.

– Mama będzie już tam na nas czekać – odpowiada ojciec.

– Hurrrraaa!... – Szczęście chłopców zdaje się nie mieć umiaru. Jednak wzrok ojca robi swoje – od tego momentu zachowują się już na tyle spokojnie, że praktycznie znika ewentualny pretekst ukarania ich zakazem wyjścia.

Kilkanaście minut później wychodzą z domu, następnie opuszczają klatkę schodową i – mają szczęście: w momencie dojścia do przystanku, w zatoczkę wjeżdża właśnie autobus. Wsiadają do niego. Po chwili ojciec, nie znajdując biletów w kieszeni spodni, klnie cicho pod nosem: – Kurwa, nie mam biletów! – A w następnym momencie pojawia się niepokojąca myśl: „Jak tylko wejdzie kanar, to już, kurwa, po nas”. Nagle na podłodze autobusu dostrzega coś, co przykuwa jego uwagę. I w tym samym momencie, gdy to rozpoznaje, wpada mu do głowy, jak mu się wydaje, zbawienna myśl.

– Panie kierowniku – podniesionym głosem zwraca się do kierowcy autobusu. – Co to, kurwa, jest?

– Co, o co chodzi? – pyta kierowca, zaskoczony nieokrzesanym zachowaniem pasażera, nie odrywając jednak wzroku od widoku ulicy za szybą, a jednocześnie obserwując go w lusterku nad sobą.

– Jak to co? Psie gówno!

– Niech pan się nie wyraża, młody człowieku, dobrze? Więcej kultury! – zwraca mu uwagę staruszka, siedząca na pierwszym miejscu po lewej stronie od wejścia do autobusu. – Nie jest pan tutaj sam.

– Przepraszam. Ale nie może być przecież, kuźwa, tak – kontynuuje w najlepsze ojciec dwóch synów – że wchodzę z dzieciakami do autobusu, a tutaj centralnie leży, jak gdyby nigdy nic, psie gówno. A przecież dzieciak może w każdej chwili w nie wpaść, jak straci równowagę, gdy ruszy autokar, i nieszczęście gotowe. Może to pani nie przeszkadza, ale mnie jak najbardziej! Pani przecież po nich, kurwa, prać nie będzie, nie?! – Ostatnie słowa wypowiada już mocno poirytowany całą sytuacją. – Nie, w takich warunkach jechać dalej się nie da. Niech pan się zatrzyma – mówi do kierowcy, a do synów, niewiele rozumiejących z tego, co się dzieje, rzuca stanowczo: – Wysiadamy, chłopcy.

Kierowca nic nie dopowiada. Wie, że cokolwiek powie, to i tak nic nie zmieni: nieraz miał już do czynienia z frustrowanymi pasażerami. Zresztą, cokolwiek powie psie gówno i tak od tego nie zniknie. Dlatego teraz też zachowuje spokój i zapobiegliwie milczy.

– Niechże się pan, w mordę, zatrzyma – ponownie zwraca się do niego ojciec dwóch synów. – Chcemy wysiąść!

– Tutaj nie można – odpowiada kierowca. – Zaraz będzie przystanek.

– Oczywiście. Oczywiście – zgadza się z nim spokojniejszy już w tym momencie mężczyzna.

Po chwili samochód wjeżdża w zatoczkę przystanku i zatrzymuje się. Następnie otwierają się drzwi i na zewnątrz wychodzi zadowolony z siebie ojciec wraz z synami. Chwyta ich za ręce i po chwili przechodzi przez jezdnię na drugą stronę ulicy. Gdy znajdują się w połowie przejścia dla pieszych, nagle, tuż obok nich, z piskiem opon hamuje kierowca opla.

– Jak, kurwa, łosiu, jeździsz?! No jak! – krzyczy ojciec, nie wypuszczając jednak rąk synów ze swoich dłoni.

– Przepraszam – mówi niepewnie kierowca, wychylając głowę przez otwarte okno. – Bardzo pana przepraszam. Nie chciałem nikogo wystraszyć.

– Ech! – kiwa z rezygnacją głową mężczyzna i nic już nie mówiąc, pokonuje z dziećmi resztę odcinka pasów. Przechodzą następnie jeszcze około trzystu metrów, gdy ich oczom ukazuje się, czekająca na nich kobieta. Na jej widok ojciec uwalnia dłonie synów z uścisku, a ci na wyścigi rzucają się pędem przed siebie. Po chwili są już w jej objęciach. I cieszą się tak, jakby nie widzieli jej od bardzo dawna, choć minęły raptem niecałe dwie godziny od ich rozstania.

Po tym dziecięcym okazaniu jej swoich uczuć, cała rodzina wędruje w kierunku nieopodal rozłożonego wesołego miasteczka, w którym jest tłoczno już od najwcześniejszych porannych godzin. Podchodzą do jednej z kolejek ustawionych po bilety na rollercoaster. Przed nimi swoją dwie nastolatki. Jedna z nich z niemałym zaangażowaniem tłumaczy drugiej.

– Mówię ci – nawet, kurwa, nie wiesz, jak ja tego chuja kochałam. A on się z tą zdzirą zadał. Ale mówię ci – jak tę głupią kurwę gdzieś kiedyś złapię, to przyrzekam, kurwa, na

życie swojej matki, którą przecież kocham jak nie wiem co, że tak jej wpierdolę, że nawet on jej nie pozna. Chyba że po tym tatuażu, co go ma na ramieniu. – Tu robi niewielką pauzę, po czym kończy sentencjonalnie: – Miłości jej się zachciało, to ją będzie miała, kurwa jedna.

Matka stoi z synami za nimi jak oniemiała, przypominając teraz swoją postacią skamieniałą Niobe. Na jej mężu całe zdarzenie nie robi szczególnego wrażenia, jakby już przywykł do takich obrazków, zżył się z nimi. Dziewczyna tokowała dalej w najlepsze, nie zwracając zupełnie uwagi na nic i na nikogo. Zachowywała się tak, jakby była tutaj sama z koleżanką i nic i nikt nie mógł jej przeszkodzić w tym upuszczaniu żalów zranionego młodego serca.

– Zobacz, Samanta – przerywa jej nagle koleżanka. – Ale, kurwa, jazda na tym rolerkasterze!

Matka w końcu nie wytrzymuje dłużej tego pokazu prymitywnej wulgarności dwóch nastoletnich dziewcząt i pociąga synów w stronę innej atrakcji tego miejsca – akumulatorowych samochodów.

– A zjeżdżalnia? – pyta z rozpaczą w głosie jeden z chłopców. Drugiego z nich stać w tym momencie jedynie na krótkie:

– Mamo!

Na co matka spokojnie odpowiada:

– Teraz jest za duża kolejka, widzicie przecież. Przyjdziemy tutaj później. Teraz pójdziemy na samochody.

– Hurrrrrraaa! – niemal równocześnie wydobywa się z ich gardeł, po czym obaj biegną w stronę podestu z samochodami.

Na szczęście tutaj nie ma kolejki, więc chłopcy, po uiszczeniu przez matkę stosownej opłaty, w następnej chwili siedzą już wygodnie w swoich maszynach i dzielnie wjeżdżają na siebie, nie robiąc sobie jednak przy tym żadnej szkody. Gdy dzieciaki w najlepsze pochłonięci są swoją zabawą, ojciec mówi do matki:

– Idę kupić im watę cukrową.

– Nie trzeba – odpowiada ona.

– Jak to nie trzeba? – pyta zaskoczony.

– I tak jedzą za dużo słodyczy. Szkoda na takie rzeczy pieniędzy.

– Jaka szkoda?! Co ty, kurwa, pierdolisz? – nie wytrzymuje ojciec dzieci. – Jest niedziela, jesteśmy w wesołym miasteczku, dzieciaki są szczęśliwe. Czy ty, kurwa, musisz zawsze wszystko spieprzyć, kobieto?

– Uspokój się – syczy przez zaciśnięte zęby ona, nerwowo rozglądając się dookoła, jakby w obawie, że ktoś ze znajomych nieopatrznie stał się nieproszonym świadkiem tej żenującej sceny. A nie znajdując nigdzie znajomej twarzy, dodaje: – Nie rób mi wstydu, jeśli możesz.

– Jaki, kurwa, wstyd?! Zastanów się, o czym ty mówisz, kobieto. – Jego podenerwowanie narasta i jest teraz wprost proporcjonalne do zainteresowania pozostałych klientów wesołego miasteczka niedzielną zabawą. – Dzieciom, moim synom żałujesz, kurwa mać, jakiejś pieprzonej waty cukrowej? Co z ciebie za matka, do kurwy nędzy, co?! – I nie czekając na odpowiedź, szybko dodaje: – Pierdolę to, baw się sama. Idę do pubu! Muszę odreagować, bo nie idzie z tobą wytrzymać. – Następnie obraca się o sto osiemdziesiąt stopni i odchodzi. I robi to tak szybko, że ma się wrażenie, iż właściwie

tylko na to czekał od jakiegoś czasu i świadomie zmierzał właśnie do takiego rozwiązania.

Po raz drugi dzisiejszego dnia i to zaledwie w odstępie kilku minut jej postać znów przypomina Niobe: stoi oniemiała i bez ruchu niczym skamielina. A przecież ten dzień miał wyglądać zupełnie inaczej. W końcu dzisiaj przypada siódma rocznica ich ślubu, więc chyba miała prawo oczekiwać czegoś szczególnego, wyjątkowego. Zanurza dłoń w kieszeni letniej kurtki. Gdy po chwili ją wyjmuje, w jej dłoni leży męski złoty sygnet. Widać na nim wygrawerowany znak jego zodiaku i napis: „Siedem lat później". Przez krótką chwilę wpatruje się w niego, po czym na powrót wsuwa go do kieszeni kurtki. Miała mu go dzisiaj wręczyć, ale wie, że nie może tego zrobić po tym, jak się zachował. Dlatego po wesołym miasteczku zabierze najpierw synów na lody, a potem… potem pójdą do parku i posiedzą sobie nad stawem. Bo staw – jest teraz tego pewna – to najlepsze miejsce do przechowania jej prezentu i jego tajemnicy.